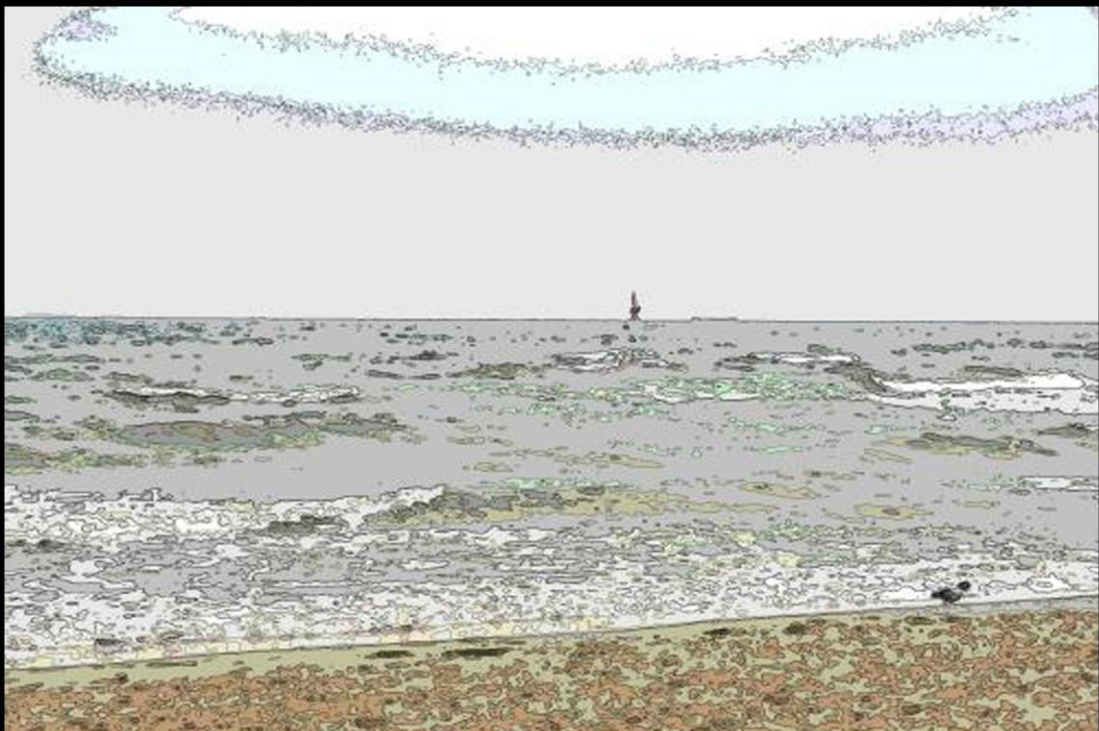


Adam Szczepański



ARGENTYNA

ADAM SZCZEPAŃSKI

ARGENTYNA

Copyright by Adam Szczepański & e-bookowo 2009

Projekt okładki, grafika: Adam Szczepański

ISBN 978-83-61184-34-8



Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części
lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2009

www.e-bookowo.pl

TRZY SŁOWA OD AUTORA

Po pierwsze, w tej opowieści nie ma smoków. Ba, smoków – gorzej! Nie ma nawet jednego, cherlawego smoczątka. Przykro mi, ale nie. Po prostu. Dlatego, miłośnicy złych gadzin i szlachejnych rycerzy, by zmniejszyć wasze rozczarowanie lojalnie uprzedzam: smoków brak (rycerze owszem, zdarzają się, chociaż niekoniecznie szlachetni).

Po drugie, potencjalny czytelniku, wiedz, że wymyślanie tej historii sprawiało mi przyjemność. Niestety nie oznacza to, że automatycznie i ty, czytając, odczujesz podobną satysfakcję, jaką mnie sprawiło pisanie, choć oczywiście tego Ci życzę. Czuj się ostrzeżony.

Po trzecie, mam obowiązek wspomnieć, że Argentyna powstała z kilku powodów, także z miłości do muzyki. Dlatego tu i ówdzie da się znaleźć nawiązania do takich i innych twórców oraz ich muzycznych „dzieci”. Również w tytule. Nie zdradzę konkretów, tym bardziej, że nie ma to większego znaczenia dla samej treści, ale są tam. I już.

Po ostatnie wreszcie, być może ta historia nigdy by nie powstała, gdyby nie konstruktywne zainteresowanie niektórych osób. Dlatego poniższe zdanie jest tu jak najbardziej na miejscu.

Magdaleno, Bartolomeo: to w jakimś sensie również i wasza opowieść.

„Śmierć jest dobra. Wobec wszystkiego zła, które dzieje się na świecie śmierć jest człowiekowi najlepszym przyjacielem”

M.W.

PROLOG

Padało. Niebo z ziemią łączyła jedna wielka ściana wody. Na szczęście nie co dzień zdarzają się podobne ulewy. Ale zdarzają się. Być może w górze szalejący wiatr targał właśnie koronami drzew, ale tu, na dole, słyszalny był tylko szum deszczu. Huk właściwie. Strugi wody zamieniły wąską drogę, jaką w tym miejscu stawał się leśny, niebrukowany trakt w wielkie bajoro. Rozmywały natychmiast jakiegokolwiek ślady, ograniczały widoczność. Dwaj wędrowcy parli przed siebie przekonani, że znajdują się na właściwym szlaku chyba tylko, dlatego, że wolno, acz stopniowo, rozsuwała się przed nimi kurtyna lasu. Wszystko dokoła bardziej przypominało koryto potoku niż jakiegokolwiek dukt. Przemoczeni, z pochylonymi głowami, w lepiących się do ciał opończach uparcie brnęli naprzód. Szare kaptury skrywały twarze przed deszczem, a jedyną rzeczą, jakiej nie dało się ukryć był okazałych rozmiarów topór, którego kształt odciskał się wyraźnie przez grzbietnie odzienie cięższego z ludzi. Ubiór podróżnych – szare opończe, na które narzucono długie płaszcze tej samej barwy, wykonane z lichej materii – kazał wnioskować o ich niskim stanie. A skrzętnie kryty na szerokich barach oręż nasuwał podejrzenia, co do szemranej profesji wędrowców.

Nie przystanęli, mimo że deszcz nie zelżał ani na chwilę. Widocznie cel, ku któremu zmierzali wart był tego, by podążać doń bez względu na warunki. Przeciętny człowiek dawno poszukałby schronienia pod pnem jakiegoś drzewa. Dookoła nie brakowało tych potężnych, leśnych olbrzymów, gotowych dać osłonę przygodnym wędrowcom. To zacieśniały się wokół pieszych, to znów czmychały na boki, tworząc w swym płasie gęsty szpaler, jednak nie dość ciasny by zakryć trakt przed padającym deszczem. Ludzie szli wolno, krok za krokiem pogrążając się w błotnistej mazi, obarczeni ciężarem nasiąkniętych wodą ubrań. Wąska droga wiła się wśród zarośli jak żmija, niespodziewanie wychodząc na średnich rozmiarów polanę, teraz wyglądającą raczej na mały staw. Na środku majaczył duży kształt, przy którym krzątały się jakieś postacie. Mężczyźni podszli bliżej, niezauważeni, bowiem tamci ani razu nie spojrzeli w ich kierunku. Naganna nieostrożność. Teraz tajemniczy kształt okazał się wozem, a zajęci nim ludzie żołdakami. Dość pospolitymi, sądząc po skórzanych napierśnikach nabijanych z rzadka metalowymi

guzami. Ludzie wielmoży byliby w blachach od stóp do głów. I w liczbie większej niż dwóch. Wędrowcy spojrzeli po sobie. W oczach tęższego pojawił się błysk podniecenia, ale drugi, nieco wyższy, acz drobniejszej budowy – wręcz chudy w porównaniu z towarzyszem – widać znał to spojrzenie.

– Nie – szepnął. – Tylko bez walki. Pozwól mi mówić.

– O czym tu rozprawiać? Wyrzniemy ich jak kwoki – mruknął zagadnięty.

– Po mojemu. Tym razem zrobimy po mojemu. Więc wstrzymaj swoje żądze na inną okazję. I lepszy cel.

Przez chwile mierzyli się spojrzeniami, w końcu topornik uległ, wyraźnie niezadowolony. W samą porę, gdyż wozowi właśnie odwrócili się w ich stronę.

– Bądźcie pozdrowieni, szlachetni panowie! – krzyknęła zakapturzona postać podnosząc rękę w geście powitania. – Jesteśmy pątnikami, zmierzamy do opactwa na Sarniej Górze. Czyimście orszakiem i jak mogą się wam przysłużyć nasze liche osoby?

Odpowiedzią było milczenie. Na twarzach okrzykniętych malowało się niezdecydowanie.

W końcu starszy z żołdaków, z posiwiąłą już brodą, burknął opryskliwie:

– Pojazd jest pana Mellon, a siedzi w nim jego czcigodna małżonka. Przysłużyć się owszem, możecie, pomagając wypchnąć wóz z tego przekłętą bagna, psia mać.

– W takim razie spotka nas wielki zaszczyt, radością będzie wypychać powóz samego pana Mellon – odrzekł pątnik, choć o Mellonie słyszał pierwszy raz w życiu i mógłby przysiąc, że taki on szlachetny jak i woły lub inne bydłeta, których handlem pewnie się trudnił, jako że powóz wyglądał na własność jakiegoś kupca.

Brodacz, wyraźnie uspokojony, skinął pobłaźliwie, po czym donośnie krzyknął w stronę otaczających polaną zarośli:

– Bywaj tu!

Z gęstwiny wyłoniło się jeszcze dwóch żołdaków, odzianych podobnie jak ich towarzysze. Obaj trzymali napięte kusze. Na znak dowódcy zbliżyli się i przestali mierzyć w zakapturzonych przybyszów. Chudzielec zmrużył oczy. Więc jednak wcale nie byli nieostrożni. Z wyższością spojrzął na swego olbrzymiego kompana.

– Wyrzniemy ich jak kwoki – mruknął drwiąco. – Mało brakowało a sam byłbyś kapłonem, durniu. Prawdę rzekłszy nadałbyś się.

– Nie jest powiedziane, że by trafili – odburknął zaczepiony.

– Oczywiście, nie jest. Ale żeby ktokolwiek chybił z takiej odległości, musiałbyś mieć równie mało ciała co rozumu. A niestety, druhu, akurat masy ci nie brakuje.

Oczy olbrzyma rozbłysły gniewnym blaskiem, nagłym ruchem zwrócił się w stronę towarzysza, zapewne z zamiarem odpowiedzi, a może i wymierzenia policzka za usłyszaną obelgę. Zrobił to jednak na tyle gwałtownie, że potężnym barkiem trącił nadchodzącego najemnika. Pewnie nie całkiem zdawał sobie sprawę ze swej ogromnej siły, bowiem w przeciwnym razie poruszałby się z lekkością motyla, rezygnując z wszelkich gwałtownych ruchów. Żołdak runął w błoto. To, co dla pątnika było mimowolnym trąceniem dla niego okazało się potężnym ciosem. Pozostali wzięli to za atak, wszystko, co nastąpiło później, stało się w mgnieniu oka. Strzelec wymierzył w wielką postać, jednak drugi z wędrowców zgrabnym ruchem podbił mu kuszę i bełt chybił celu, przeszywając zasłonę i wpadając do środka powozu. Chwilę potem kusznik leżał na ziemi rozplątany potężnym ciosem topora, podobnie jak jego towarzysz, który nie miał dość przytomności umysłu by od razu złożyć się do strzału. Kosztowało to życie. Olbrzym obrócił się teraz w stronę siwobrodego, który szarżował nań z dobytym mieczem. Podniósł go, ale ciąć już nie zdołał uderzony od dołu z ogromną siłą. Ostrze topora przebiło trzewia wychodząc z tyłu, a siła ciosu rzuciła żołdakiem o ścianę powozu. Mokra deski zatrzeszczały. Topornik potraktował przygwożdżonego jeszcze uderzeniem głową, choć nie było to już konieczne. Odsunął się i wyszarpnął oręż. Śmiertelnie rżnięty najemnik rżąc osunął się na ziemię. Zabójca podszedł do tego, którego na początku tak pechowo przewrócił. Udawanie nieprzytomnego w niczym mu nie pomogło. Dał się słyszeć nagły świst i nieprzyjemny chrupot. Kałuża, w której leżał nieszczęśnik zabarwiła się purpurowo. Wszystko stało się tak szybko, że siedzący na koźle woźnica nie zdołał jakkolwiek zareagować, nawet nie krzyknął. Nadeszła jego kolej. Próbował zasłonić głowę ramieniem. Bardzo naiwnie. Towarzysz rzeźnika, z obrzydzeniem przyglądający się masakrze, podszedł do powozu i otworzył drzwiczki. W środku, w nienaturalnej pozie, siedziała starsza kobieta z otwartymi ustami i szyją przebitą bełtem własnego obrońcy.

– Brawo – klasnął. – Brawo.

– No, co? Nie miałem tego w planie. Czysty przypadek. A później już się potoczyło.

– Pięknie. Po prostu pięknie, bezmyślna góra mięsa!

– Owszem, pięknie. A wiesz, co teraz zrobię? – zapytał siłacz.

– Ciekawym. Zjesz ich?

– Nie – potężny mąż zdawał się nie zwracać uwagi na złośliwego towarzysza – Oto, co zrobię.

Rozłożył szeroko ręce i uniósł głowę ku niebu. Strugi wody obmywały twarz, którą, co teraz było widać, okalała gęsta, ruda broda. Powietrze rozdarł dziki, zwierzęcy okrzyk triumfu.

– Cholerny barbarzyńca – zaklął chudzielec.

Topornik uważnie popatrzył na kompana.

– Złamał ci ktoś kiedyś nos? – zapytał.

– Nos nie. Serce.

– Wzruszające. Ale wierz mi, drogi przyjacielu, że złamany kichol boli bardziej, choć krócej.

Chudy odsunął się na bezpieczną odległość mamrocząc pod nosem coś bardzo nieprzyzwoitego.

– Nie zapominaj, że gdyby nie ja ten bełt tkwiłby w twojej szyi – rzekł wskazując ręką na otwarte drzwiczki powozu. Widać jednak groźba złamania nosa wywarła pożądaną skuteczną.

– Nie jest powiedziane, że by trafił – w głosie topornika było zdecydowanie za mało ciepła, jak na kogoś, kto jest wdzięczny za ocalenie życia.

Deszcz nie przestawał padać. Wysoki złapał się za głowę.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z konsekwencji? Ta awantura ściągnie nam na karki strażników grodowych, ludzi Mellona i licho wie, kogo jeszcze. Chyba, że... Tak! Tak właśnie zrobimy – Oczy człowieka rozświetliło olśnienie. – Słuchaj. Na pewno ów Mellon wysłał sługi na spotkanie żony, kiedy tylko ulewa zaczęła się na dobre. Zatem nie możemy iść naprzód. A i na przełaj przez las będzie zbyt ryzykownie. Znajdą powóz i ściągną grodowych. Nam się spieszy. Dlatego zawrócimy lasem, wzdłuż traktu. Deszcz nie będzie padał wiecznie, ale póki, co pozaciera ślady. Przy odrobinie szczęścia trafimy na jakichś kupców albo pielgrzymów. Miniemy ich niezauważeni, a potem znów zawrócimy, dogonimy i dołączymy. To da nam dowód niewinności, bo jeśli nawet ktoś by pytał – skoro podążaliśmy za nimi, z zejściem na polanie nie możemy mieć nic wspólnego. Nawet gdybyśmy nie spotkali żadnych przygodnych towarzyszy, a grodowi trafią na nasz trop, to i tak mamy szansę żeby się wyłgać – cóż, bowiem mogli sprawić dwaj pątnicy w starciu z pachółkami szlachetnego pana Mellon hahahaha... Zwłaszcza, że dopiero zmierzają w stronę zdarzenia. Będziesz tylko musiał lepiej kryć tę swoją zabaweczkę... –

Zatrzymał wzrok na dwuręcznym toporze. – Tak, więc cofamy się, żeby potem z powrotem się cofnąć, a wszystko to żeby ruszyć naprzód, zrozumiałeś?

– Nie.

– Czego ja się spodziewałem... Ty słuchać uważnie: tobie podążać za mną, teraz rozumieć?

– Złamał ci ktoś kiedyś nos?

– Już pytałeś.

Ulewa nadal chłostała ciemny las, tak jak kat chłoszcze nieszczęsnego skazańca. Miarowe uderzenia nie słabły nawet na chwilę. Raz dwa, raz dwa... Drzewa broczyły wodą, spływającą po pniach aż do samej ziemi, podobnie jak plecy męczennika spływają krwią na skutek powtarzanych uderzeń. Raz dwa, raz dwa... Coraz zajadlej i gwałtowniej, w oczekiwaniu na krzyk bitego, starającego się nie zawyć z bólu, nie stracić przytomności, nie przegrać. Raz dwa, raz dwa... Nieprzerwanie.

Ale las milczał. Hardo. I groźnie. Do czasu, kiedy jego dumny spokój zakłóciło wreszcie najbardziej drapieżne i niepokorne ze zwierząt. Człowiek. Ciszę rozdarł ochrypły śpiew, choć tak naprawdę brzmienie bardziej przypominało głos dzikiego, śmiertelnie rannego zwierza.

Dziecię suki, synu wieprza
Śmierć dla ciebie jest najlepsza
Naprzód Północ, hej!!
Lej się jucho, lej!

Psie niegodny ani zdania
Do umarłych zstąp mieszkania
Naprzód Północ, hej!!
Lej się jucho, lej!

Ognia! Mordu! Gwałtu! Krwi!
Wszystko to ku mojej czci!
Naprzód Północ, hej!!
Lej się jucho, lej!

Wysoki pielgrzym spojrzał ze zgrozą na ryczącego towarzysza.

– Jeżeli zamierzasz ściągnąć na nas naprawdę wielkie kłopoty, bardzo cię proszę, zaśpiewaj jeszcze parę strof tej uroczej piosnki. Ale jeśli jakimś przypadkiem masz jednak inny zamiar... Bądź tak dobry i racz zamilknąć... Milcz! – Ton głosu przypominał syk bezradności, jakim wściekły rodzic napomina potomka, nie wierząc w skutek swej nagan.

– Będę śpiewał żałobną pieśń, żeby te psy mogły trafić do Krainy Wiecznej Nocy. Mają do tego prawo. – W głosie niewprawnego skalda było tyle pewności, że jakakolwiek perswazja nie miała sensu.

– Tak? Jakoś wcześniej nie śpiewałeś...

– Wcześniej nie było święta Moldtir. A dziś jest. Za każdego zabitego, ten, który go powalił, musi odśpiewać nokturn. Czyli mnie zostały jeszcze cztery. Właśnie, dlatego w dzień Moldtir w moich stronach nie przeprowadza się żadnych bitew. Byłyby zbyt kłopotliwe.

– Ładna mi elegia... "Ognia! Mordu!...". Taki miły obyczaj rodem z mroźnej Północy?

– Tak, właśnie tak. Pochwała męstwa. I świadectwo tego, że legli z bronią w rękę, jak mężczyźni. To uprawnia do przekroczenia bram świata wiecznego odpoczynku, gdzie czeka na nich takie przyjęcie, jakimi byli wojownikami. – Topornik snuł swój wywód z poczuciem wyższości, nie zaszczycając kompana nawet spojrzeniem. – Tam skąd pochodzisz nie macie zapewne podobnych zwyczajów? – prychnął wzgardliwie.

– Owszem, podobnych nie. Chociaż i my wierzymy, że śmierć nie jest końcem. I też mamy pieśni żałobne. Ale w przeciwieństwie do twojej, moja "Kraina Wiecznej Nocy" jest ciepła i słoneczna.

– Pff to dobre dla bab. I jak niby nazywa się ta kraina? Babiniec? Białogłów? Nie-wiastowo?

– Argentyna – Wysoki udał, że nie dostrzega drwiny. – Nazywa się Argentyna. A wielka rzeka La Plata oddziela po śmierci tych, którzy za życia byli wrogami. Tak by każdy mógł zaznać spokoju. Po swojej stronie.

– Tak? A jeśli, przypuśćmy, mam przyjaciela. I ten przyjaciel jest też twoim przyjacielem, ale jest wrogiem innego twego przyjaciela, który z kolei jest moim przyjacielem, ty zaś jesteś mym wrogiem. Tedy, po której stronie rzeki się znajdziemy?

Twarz zagadniętego rozjaśnił mimowolny uśmiech.

– Nie traktuj tego dosłownie, siłaczu. To tylko wyobrażenie. Jak jest dokładnie przekonasz się kiedyś, kiedy nadejdzie twój czas.

– Myślę, że ty przekonasz się pierwszy. Doświadczysz, że nie ma żadnej Argentyny. Jest chłód, ciemność i Kraina Wiecznej Nocy.

– Może i masz rację... Ale może jej nie masz.

– Mam. A teraz bądź tak dobry i zanuć jakąś pieśń z tego swojego Ar... Babińca. Dla tych dzielnych chłopców, którzy mieli nieszczęście spotkać mnie na swojej drodze.

Wysoki zawahał się. Jednak po chwili zaczął melodyjnie nucić, najpierw bardzo cicho, później już nieco głośniej. Głos miał czysty i kojący.

Nienawidziłem cię

Nienawidziłem, ale to już nieważne

Długa droga przed tobą

Słońce, szum morza i wiatr

Już rozumiesz?

Ta kraina...

Otwórz oczy

Nowe życie się zaczyna

Buenos Aires, Argentyna

Smutek? Szczęście? La Plata!

Śnij swój sen

Wiesz...

Nic się nie stało

Wstaje kolejny dzień

Już wiesz?

Nic się nie stało

Nie nienawidzę cię

– Dokładnie tak, jak myślałem. Typowy babiniec – mruknął rudobrody.

Poszli. Deszcz ciągle padał.

TAM I Z POWROTEM, I ZNOWU TAM, A Z POWROTEM JUŻ NIE

1

Nie sądzcie albowiem sami możecie zostać osądzeni, jak mądrze stoi w pewnym bardzo starym Piśmie. My jednak, jako ludzie niepostępujący zwykle zgodnie z kanonami mądrości, jakkolwiek postępowanie takie można by nazwać głupim, lub – bardziej dyplomatycznie – nieroztropnym, właśnie sądzić będziemy. Sądźmy, więc. A sądzimy, że czas najwyższy, by przybliżyć zacnym czytelnikom tajemnicze postacie, które dane im było spotkanie deszczowego dnia w leśnej głuszy. Pora uchylić rąbka tajemnicy i zdradzić godności owych panów, profesję, powód i cel ich wędrówki, a może, któż to wie, nawet coś więcej. Zdradźmy, zatem. By jednak było to możliwe na początku przyjdzie nam nieco cofnąć się w czasie, do momentu, gdy obaj mężczyźni wiedzieli o sobie tyle, co teraz czytelnicy. Znaczy nic. Zaś wy, dobrzy ludzie, podążajcie bacznie za naszą opowieścią.

Skryba odłożył pióro, zadowolony z siebie. Przez chwilę wpatrywał się w szeregi liter, stojących równo, jedno za drugim, niczym karne wojsko. Jego myśli pobiegły w całkiem innym kierunku. Wojaczka, awantury, przygody, miłości... Ech, młodość... Nie wrócisz się, oj nie wrócisz...

Przez moment myślał o tym z żalem. Dość długo by odczuć brzemień minionych lat i nie aż tyle, żeby pogрузić się w smutku. W sam raz, aby móc napełnić stojący obok kubek.

Ale wspomnień... Wspomnień nikt mu nie zabierze.

Uśmiechnął się. A potem, zaczerpnąwszy tęgi łyk grzańca, na powrót zasiadł do pisania.

* * *

Człowiek pchnął ciężkie, dębowe drzwi, z pewnością pamiętające lepsze czasy, po czym wkroczył do ciemnej salki. Przechodząc przez próg musiał schylić głowę. Nie przypuszczał, że drzwi pamiętają aż tak dobre lata – kiedy ludzie bywali znacznie mniejsi, nim duma i pycha rozsadziły ich do obecnych rozmiarów. Sam mężczyzna był dumny. Bardzo dumny. Nic, więc dziwnego, że urósł wielki niby dąb puszczański. Większość ludzi sięgała najwyżej jego brody, a dorównać mu wzrostem mogli tylko najtężsi mężczyźni. Choć wysoki, był dość wątłej budowy. Pozbawiony szerokich barów i rozłożystego torsu, właściwych ludziom robiącym mieczem. Posturą bardziej przypominał skrybę lub medyka. Wrażenie to potęgowała twarz – spokojna, myśląca – i oczy. Pełne blasku. Szare. Mądre. I... Złe? Może. Jedynym szczegółem niezgodnym z takim wyobrażeniem była blizna na policzku, jak sam twierdził pozostałość po młodzieńczym pojedynku. Ale w rzeczywistości, o czym wiedział tylko sam zainteresowany, świadectwo niewprawnego obchodzenia się z brzytwą. Ciemne, dość krótkie włosy zlewały się z półmrokiem panującym w ciasnej komnacie, tak, że w pierwszej chwili trudno było rozeznaczyć, czy nie kryje ich jakieś wymyślne nakrycie głowy. Człowiek ten, lat ponad trzydziestu, nie nosił brody, tak częstej w tych okolicach. W ogóle nie wyglądał jak miejscowy. Na pewno nie wyróżniał go ubiór, który nie przedstawiał się ani niezwykle, ani imponująco. Mężczyzna odziany był w skórzane spodnie i takiż kaftan, strój skromny, lecz schludny i zadbane, nasuwający na myśl łowcę lub przewodnika. Zatem co, jeśli nie przyodziewek, sprawiało, że zdawał się wyglądać osobliwie? Może twarz? Przystojna facjata medyka, niezniszczona nadmierną skłonnością do uciech. Miękki, wilczy chód? A może duma? Nie sposób było orzec w pierwszej chwili.

Jeśli wchodzący był dumny, to osobnik siedzący na dębowej, okrytej niedźwiedzimi skórami ławie musiał być nadto pyszny. Nie dość, że wysoki, choć może nie tak jak przybysz, był też niezwykle potężny. Rzec by można, że jakiś górski niedźwiedź zrzucił futro, po czym rozsiadł się na ławie, narzucając nań swą skórę. Rozłożyste ramiona, bardziej przypominające pniaki niż członki ludzkie, świadczyły o niepospolitej sile. Twarzy męża nie znaczyły blizny, nie potrzebował jednak świadectwa o stoczonych pojedynkach, na pierwszy rzut oka było widać, że odbył ich niemało. Zwycięskich. Okrągłe oblicze okalała gęsta, ruda broda, niestrzyżona ani nieukładana od dawien dawna. Bardziej niż ludzki zarost przypominała leśną głąsę, w której czatować może nie lada licho.

Trudno by określić wiek rudobrodego. Równie dobrze mógł mieć na karku czterdzieści, jak i dwadzieścia wiosen. Człek zabobonny zapewne pomyślałby, że mąż ten musiał być równie ogromny już w chwili narodzin, a powiła go jakaś mityczna olbrzymka. Mętne niebieskie oczy świadczyły o skłonności do hulanki, lecz nie o głupocie, często właściwej podobnym osiłkom. Zarówno ubiór, jak sposób bycia wskazywały na przybysza z dalekiej Północy, słynącej z takich zabijaków, pałających żądzą mordy i rabunku. Mężczyzna miał lekko w czubie. Właśnie opróżnił, zapewne któryś już raz, stojący przed nim dzban i teraz ocierał mokre usta wierzchem dłoni. Na stole prócz dzbana leżał duży, poszczerbiony już nieco topór dwuręczny. Na tej samej ławie, lecz w pewnej odległości od olbrzyma, siedział starzec, skromnie odziany, acz niepospolitego stanu, o czym świadczył sposób, w jaki trzymał głowę. I drogie pierścienie na palcach. Dużo drogich pierścieni. Długie siwe włosy opadały mu na czoło, pozwalając obserwować innych, jednocześnie ukrywając własne spojrzenia. Pod ścianą za plecami starca stało dwóch krzepkich pacholków, nie tak wysokich jak przybysz i nie tak tęgich jak właściciel topora, za to wspartych na okazałych rozmiarów mieczach. Byli odziani w barwy pana de Xour. Pierśi ozdobił im jego herb – wilczy łeb na zielonym polu. Taki sam znak widniał na kaftanie siwowłosego. I na tarczy zawieszanej wysoko na ścianie. Całości wystroju ciasnej izby dopełniały porozrzucane tu i ówdzie niedźwiedzie skóry oraz kilka świec dających skąpe światło. Czuło się wilgoć. Mało przyjemne pomieszczenie. Stary wskazał przybyłemu miejsce przy stole. Mężczyzna skinął głową i usiadł w milczeniu.

– Dziękuję, że panowie zechcieli przyjąć zaproszenie – zaczął siwowłosy. – Zdążyłem właśnie dojść do porozumienia w kwestii zapłaty z panem Ark. Z panem – wskazał na przybyłego. – Wszystko uzgodniliśmy już przedtem. Także cel misji. Sposób realizacji mnie nie interesuje. Czas jest ważny, ale niedecydujący. Wtajemniczy pan w szczególności swojego kompana? – Bardziej rozkazał niż spytał.

– Mamy ukraść pewien rękopis – wolno zaczął wysoki. Jego przyjemny głos z pewnością już niejedną niewiastę przyprawił o szybsze bicie serca.

– Odzyskać – wtrącił się stary. – Odzyskać. Ta księga należy do mojego zleceniodawcy, a jedynie w wyniku pewnych okoliczności, o których panowie nie potrzebują wiedzieć, znalazła się u hrabiego Mafrebois. Skąd też panowie ją odzyskają. Bo tak właśnie się stanie, nieprawdaż?

– Tak się stanie – sucho przytaknął chuddy. – W każdym razie – podjął. – Mamy odzyskać pewien rękopis. Pan, jak sądzę, będzie odpowiedzialny za szczegółową stronę

przedsięwzięcia – znacząco spojrzął na topór. – Ja natomiast mam się zająć częścią mmm... Ogólniejszą.

– Czyli? – opryskliwie przerwał rudowłosy olbrzym.

– Czyli przeprowadzeniem nas do siedziby hrabiego, obmyśleniem sposobu dotarcia do jego księgozbioru, a następnie znalezieniem tam pożądanego dzieła. Bowiem nie sądzę żeby znał pan język, w którym zostało sporządzone.

– Czyli?

– Czyli starogracki.

– A jest taki język?

– Owszem, jest. – Uważny obserwator dostrzegłby w oczach mówiącego cień obraźliwej wyższości, ale topornik nie był uważnym obserwatorem. Ani trzeźwym.

– Czyli, jak rozumiem, krótko mówiąc jestem od czarnej roboty: krew, bitki i niebezpieczeństwa, a jaśnie pan będzie sobie przesiadywał w bibliotece?

– W skrócie – przerwał cierpko starzec. – Nie odpowiada to panu, panie Ark?

– Za tę cenę. – Niedźwiedź czknął potężnie. – Za tę cenę pasuje mi wiele. Nawet to, że podano mi tu tak podłe piwo. W lilipucich ilościach.

Oczy starca zwężyły się na chwilę, jednak trwało to bardzo krótko.

– W dalsze szczegóły wprowadzi pana towarzysz – rzekł stary po dłuższej przerwie. – A teraz. – Przesunął wzrokiem po obydwu najemnikach. – Mniemam, że możemy uścisnąć sobie ręce.

Uścisnęli.

Olbrzym stał przed starą myśliwską chatą, gdzie przed chwilą dobijali targu. Budynek był wiekowy i zaniedbany. W dodatku leżał na uboczu, otoczony lasem, oddalony od głównych dróg. To, że właśnie takie miejsce wybrano na podobne spotkanie mogło świadczyć tylko o jednym – komuś bardzo zależało na dyskrecji. Topornik rozglądał się obojętnie. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby wzbudzić jego zainteresowanie. Nic dziwnego, bowiem na dziedzińcu nie było ani trunków i misy mięsiwa, ani krągłej dziewczki do wychędożenia, ani nawet przeciwnika, którego mógłby zmasakrować. Jedynie pałętający się pies. A tego brodacz nie miał ochoty zabijać ani jeść. A już na pewno nie chędożyć. Z rezygnacją utkwiał wzrok w drzwiach wejściowych, gdzie spodziewał się ujrzeć swego nowego współnika. Nie zawiódł się.

– Oto pański nowy przydzwiek – rzekł chudy, wyjmując z niesionego wora szary płaszcz i opończę tej samej barwy. – Zechce się pan weń przebrać? Od teraz jesteśmy pątnikami. To nam znacznie ułatwi podróż. Konie zostawimy tutaj, wędrujemy pieszo. Przede wszystkim zależy nam na tajemnicy, a dostaliśmy godziwą zapomogę. – Brzęknął całkiem sporym mieszkciem. – Chyba, że zacny pan ma inny pomysł? – dodał kpiąco, widząc niezdecydowanie rębajły.

– Skończmy z tymi uprzejmościami, bo gdy będziemy w opresji nim zdołasz wyrzec swoje „zacny panie” ktoś rozplata twą delikatną gębę na dwoje. Zacny panie.

– Dobrze. Więc jak cię zwać, Ark? – Kpiarz znacząco spojrział na topór. – Łamacz kości? Pogromca? Posępny żniwiarz? Miażdżyciel?

Brodacz przez chwilę zastanawiał się czy nie pokazać wesołkowi, z kim ma do czynienia. Ale otrząsnął się z pogardą. Z dwójki potencjalnych ofiar bardziej godny wydawał mu się leżący nieopodal pies.

– Tauzaniusz – odpowiedział ochryłym głosem. – Tauzaniusz Ark.

– Jallt – z godnością odparł wysoki.

– Przez ile el?

– Bardzo śmieszne. W tej części Cesarstwa, z której pochodzę Jallt oznacza "cień". Dla złodzieja to dobre imię.

– Cóż... Niech tak będzie. Twoja godność, twoja rzecz. Ale zanim przyoblekę się w mnisie łachy, racz mi wyjaśnić jak ogólnie widzisz naszą przyszłą sprawę? W końcu ja jestem tylko od drobnostek – sarknęła Ark, z wielką uwagą obserwując swe paznokcie.

Złodziej zadumał się. Czy myślał na ile się odsłonić? Co nowy kompan powinien, a czego nie musi wiedzieć? A może po prostu szukał odpowiednich słów? W każdym razie upłynęła długa chwila nim zdobył się na odpowiedź.

– Rzecz widzę tak: najął nas de Xour lub ktoś z jego najbliższego otoczenia. Widziałeś herby? Wilcze łby. Nie sądzę, aby ktokolwiek silił się na taką mistyfikację. Zresztą de Xour czy nie – ani nas to ziębi ani grzeje, ważne żeby zapłacił. Wiedzą, że tylko to nas obchodzi. Przynajmniej mnie – spojrział badawczo na brodacza, a nie dostrzegając sprzeciwu ciągnął dalej. – Księga musi być cenna, w przeciwnym razie nie szukano by drogich zawodowców. Mam się za takiego, a i tobie przyjdzie to przyznać. Prędzej lub później. Wyglądasz na tęgiego rębajłę, więc jak mniemam miano dobrego najemnika dotyczy również ciebie, choć profesje mamy różne. Widać, że zleceniodawcy bardziej niż na czasie zależy na dyskrecji, tak, więc w żadnym razie Mafrebois nie może wiedzieć, do kogo

wyfrunie jego biały kruk. Najlepiej żeby wcale nie dostrzegł braku księgi, przynajmniej nie od razu. Zresztą zobaczymy, nie wiem przecież jak jej strzegą. Te żebracze łachy dostaliśmy żeby zbytnio nie zwracać na siebie uwagi. Piesza wędrówka będzie dłuższa, lecz pozostanie niezauważona. Drogę znam. A twój oręż uchroni mnie przed zbyt wczesnym zakończeniem podróży. Nim zawitamy na zamek Mafreboisa, z zapchlonych pielgrzymów przyjdzie nam przeobrazić się w wojowników – broń i szaty dostaniemy od zaufanego leśniczego, dzień jazdy od celu. Opłaca go nasz najemca. Po mieście łatwiej będzie poruszać się zbrojnym niż pątnikom. Na miejscu zorientuję się, jak dotrzeć do biblioteki hrabiego. To potrwa, ale mamy środki. – Wymownym ruchem poklepał się po sakiewce. – Powrót odbędziemy w ten sam sposób, przeto nie zniszcz nadto płaszcz, pielgrzymie. Stary będzie tu przybywał każdej pełni, co miesiąc od dzisiaj. Ze złotem i końmi. Tyle wiem. Reszta wyjaśni się sama.

– Złodzieju...

– Tak?

– Zawrzyj pysk. Za dużo gadasz.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Dwaj mężczyźni, mimo ciepła odziani w pielgrzymie płaszcz, z uporem przedzierali się przez leśną gęstwinę. Gałęzie bujnie rozrośniętych krzewów, co rusz wściekle smagały ich twarze, biorąc odwet za wdarcie się do swego ustronnego królestwa. A była to trudna inwazja, okupiona licznymi zadrapaniami, przebiegająca przy surmach wymyślnych określeń, jakimi tęższy z najeźdźców raczył niewzruszone zastępy drzew i krzewów. Oraz swego towarzysza, mężnie sunącego w pierwszej linii. A także jego rodzinę do siódmego pokolenia, tak wstecz, jak w przód. Ów jednak milczał. Zdążył zauważyć, że wszelkie tłumaczenia zamiast koić jedynie podsycają gniew osiłka. Wyjaśniał już, że wędrują przez ostępy nie dla kaprysu, tylko własnego bezpieczeństwa. Że jeszcze trochę wysiłku i dobrną do leśnej ścieżyny używanej przez tropicieli, na której będzie już względnie wygodnie. W końcu, że im droga marniejsza, tym bardziej odludna, a o to właśnie chodzi. Wszystko na nic. Im mocniejszy padał argument tym gorzej kłął rudowłosy brodac. Toteż jego towarzysz zrezygnował z perswazji wybierając milczenie, jak przystało na świętobliwego pielgrzymia. Jednak nawet to nie powstrzymało przekleństw krewkiego zabijaki. Jego gniew zaczął maleć dopiero w chwili, kiedy leśna gęstwinia nieco się przerzedziła. Wtedy nie klarował już pochodzenia praprawnuków współwędrowca. Ograniczył się do wnuków. Później dzieci. A gdy w

końcu wyszli na względnie wygodną drogę po prostu zamilkł. Po chwili kluczenia wśród zarośli pełniący rolę przewodnika Jallt wyprowadził niesfornego kompana na małą, ocienioną polankę.

– Tu się zatrzymamy – ocenił. – Zasłużyliśmy na odpoczynek.

Zwalisty olbrzym rozsiadł się na ziemi bez słowa sprzeciwu. Jallt przycupnął obok. Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie mocno zmęczonych. Siedzieli nie odzywając się do siebie. Twarze błyszcząły od potu, a szare stroje kleiły się do pleców. Rudobrody przyłożył do zaschniętych warg bukłak z wodą i pił chciwie.

– Powoli, Ark – zaśmiał się złodziej. – Wyglądasz jakbyś zatopił się w ustach jakiejś słodkiej dziewczicy. Tymczasem muszę cię rozczarować, drogi przyjacielu: masz przed sobą tylko skórzany worek. Rozumiem, że to niewielka różnica w porównaniu z „damami”, z jakimi pewnie przychodziło ci obcować... Ale zawsze różnica, prawda?

– Po pierwsze, chłystku – Tauzaniusz wściekłym ruchem odsunął bukłak od ust. – Nie jesteś moim przyjacielem. Po drugie kobiety są od tego by je chędożyć, choć jak rozumiem tobie wystarczy, jak to wy, modni panowie nazywacie, sztuka pocałunku. Spijanie nektaru rozkoszy – zarechotał obleśnie. – No, więc ja go nie pijam. Ale przecież jestem tylko ciemnym barbarzyńcą – zakpił. – W końcu po trzecie: jeszcze jedna taka uwaga, a sprawię, iż pożałujesz żeś się urodził. Zrozumiałeś?

Mężczyzna nie odezwał się. Zrozumiał. Każdy by zrozumiał widząc jak potężnymi argumentami dysponuje oponent. Dwa wielkie niedźwiedzie łąpska potrafią przekonać do wszystkiego.

– Po czwarte wreszcie – ciągnął Ark zadowolony z wrażenia, jakie wywarły jego słowa. – Do diabła z taką podróżą.

– Jeszcze mi podziękujesz za wszystkie niewygody – mruknął chudy.

– Żebyś się nie zdziwił. „Idziemy tędy dla bezpieczeństwa, zależy nam na tajemnicy, musimy być jak cienie, niewidoczni, bezszelestni” – przedrzeźniał. – Ciekawe, czy pan tajemniczy w swej wielkiej mądrości pomyślał o jakiejś strawie? Czy może znów mamy być cieniami? Wszak one nie jedzą, nieprawdaż?

– Owszem, pan tajemniczy myśli o wszystkim – odpowiedział zaczepiony. W przeciwieństwie do siłaczy, którzy zdają się nie myśleć wcale, przemknęło mu przez głowę.

– Chodź, zobaczysz nasz posiłek, marudny człeku.

– Ohohoho idziemy na poszukiwania? Pozwól, że zgadnę. Borówki? A może grzyby? Tak, to zaiste rozwiązuje wszelkie problemy, nie mam więcej pytań.

– Ark. – Wysoki szybko ocenił, czy znajduje się poza zasięgiem ramion niedźwiedzia. – Zamknij się. I chodź za mną.

– Oczywiście niewidocznie i bezszelestnie?

– Oczywiście. Przynajmniej na ile to możliwe – dodał spoglądając krytycznie na wielkie cielsko towarzysza.

Porzucili polanę, pogrążając się w gęstwinie. Jallt możliwie cicho przemykał pod pniami potężnych drzew, delikatnie rozsuwał zasłonę wysokich traw, uważał by nie trzasnęła żadna niepotrzebna gałązka, nie zaszumił ani jeden zbędny liść, mimo że Tazaniusz Ark dość skutecznie niweczył jego wysiłki. Wreszcie zatrzymali się w cieniu wielkiego dębu. Złodziej gestem nakazał milczenie. Sięgnął do pasa i wydobył drewnianą piszczałkę, podobną do tych, jakich używają wiejscy pastuszkowie.

– Ach, już rozumiem – szepnął rudy. – Będziemy karmić nasze zmysły. Piękno duchowych doznań starczy nam za jadło. To doprawdy doskonały pomysł. Ciekawym, co też przygotowałaś w menu na kolejne dni? Haft? Malunki? A może teatr? Jesteś geniuszem, wybacz, że cię nie doceniałem.

Chudy bez słowa ponownie sięgnął pod fałdy płaszcza, wyciągając niewielki woreczek. Rozsupłał go i wyjął dwa maleńkie kolce, które włożył do ust. Nim Ark ponownie zaczął szydzić grajek szybko dmuchnął w piszczałkę. A potem jeszcze raz.

– Już możesz mówić, żartownisiu – rzekł prostując się, po czym ruszył w stronę pobliskiego krzaku leszczyny. Przykleknął i podniósł z trawy dwa dorodne króliki – Oto twoje duchowe doznania – zaśmiał się.

Uśmiechnął się raz jeszcze widząc głupią minę towarzysza.

– Tak, tak panie Ark, to nie zwykła piszczałka. A to nie jest zwykły woreczek – klepnął w pas.

– Dmuchawka? Zatrute kolce? To i my się strujemy.

– Nie, nie zatrute. Nasączone silnym środkiem nasennym, to wszystko.

– Więc króle nie są martwe?

– Teraz już są – Jallt skrzywił się złośliwie, skręcając karczki śpiących zwierząt. – Mój drogi, jak mawiają banici wszelkiej maści: dobry król, to martwy król.

Spis treści

Trzy słowa od autora	4
Prolog	6
Tam i z powrotem, i znowu tam, a z powrotem już nie	13
Wilczy Pan	166
Po drugiej stronie rzeki	353
Epilog.....	491